George O. Smith

QRM-międzyplanetarne

(QRM-Interplanetary)

Astounding Science-Fiction October 1942
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain
This text is translation of the novelette "QRM-Interplanetary" by George Oliver Smith; e-text published by Project Gutenberg, May 6, 2022 [eBook #68005].
According to the included copyright notice:
"This etext was produced from Astounding Science-Fiction October 1942. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed."
It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

QRM – sygnał kodu międzynarodowego oznaczający „Zakłócenia" o charakterze kontrolowanym, takie jak zakłócenia powodowane przez człowieka, modulacja skrośna z innego sąsiedniego kanału lub celowe zacieranie sygnałów przez źródło zakłócające.

Zakłócenia te, nie pochodzą ze źródeł naturalnych (oznaczone w kodzie międzynarodowym jako QRN), takich jak burze elektryczne, szumy statyczne itp.

—Podręcznik, Międzyplanetarna Amatorska Liga Radiowa.

Korvus Wspaniały, nilamo Yoralen, podniósł słuchawkę telefonu w swoim pałacu i powiedział:

— Chciałbym rozmawiać z panem Wilnedą. Jest w hotelu International w Detroit, w stanie Michigan.

— Przykro mi, proszę pana — odezwał się głos operatorki. — Rozmowa nie jest możliwa, ze względu na piętnastominutowe opóźnienie w transmisji pomiędzy tym miejscem a Terrą. Interplanetary Communications nie zapewnia możliwości nawiązania połączenia dźwiękowego. Jednakże wiadomości w formie dalekopisowej są mile widziane.

Jej głos docierał z odległości tysiąca pięciuset mil na północ od Yoralen, ale brzmiał tak, jakby znajdowała się w pokoju obok. Korvus zastanowił się przez chwilę, po czym powiedział:

— Proszę przyjąć następującą wiadomość: „Wilneda: Niech pan doda do zamówienia na maszyny górnicze, jeden latacz typu 56-XXD, który zastąpi zużyty model. I proszę pamiętać, że nie należy mieszać tytoniu i podpoziomowej energii!" Niech pani to podpisze: „Korvus".

— Tak, panie Korvus.

— Nie „panie"! — krzyknął monarcha. — Jestem Korvus, Wspaniały! Jestem nilamo Yoralen!

— Tak, wasza wspaniałość — odpowiedziała pokornie operatorka. Było bardzo możliwe, że tłumiła śmiech, świadomość czego sprawiała, że mały człowieczek z Wenus aż skręcał się z gniewu. Ale nie mógł nic na to poradzić – telewizję wciąż obiecywano za te same pięć lat, co w 1929 roku.

Żeby oddać Korvusowi sprawiedliwość, nie był on małym, nadętym człowieczkiem. Był duży jak na Wenusjanina, co jednak nadal czyniło go małym według standardów obowiązujących wśród mieszkańców Ziemi. Jako nilamo Yoralen rozszerzył swoje niegdyś małe królestwo na większą część Kraju Palanortis, rozciągającego się od około 23-go stopnia szerokości geograficznej północnej do 61,7-go stopnia i niemal przez cały kontynent, który był jedynym suchym lądem na Wenus. Był przebiegłym monarchą, który podbił ten dziki kraj, w którym wcześniej panowało bezprawie, przy pomocy traktatu oraz oszustw w oszustwach, wykiwując

tych, którzy próbowali wykiwać jego. W Kraju Palanortis zbrojny podbój był czymś co budziło pogardę, lecz zdolność do zbrojnej obrony była czymś absolutnie pożądanym – a Korvus potrafił się obronić na całej nienadającej się do zamieszkania północnej części planety. Jego podbój stanowił błogosławieństwo dla cywilizacji i choć publicznie go potępiano, to prywatnie wychwalano. Ci, którzy byliby w stanie go powstrzymać, robili wszystko co było w ich mocy, aby opóźnić i uniemożliwić wszelkie działania, które mogłyby sprawić problemy w podboju ziem zajętych przez Korvusa.

Wiadomość Korvusa na Terrę przemierzyła piętnaście setek skalistych mil Palanortis aż do Northern Landing. Przeleciała wysoko ponad tysiącmetrowymi drzewami i ponad łańcuchami górskimi. Przeskoczyła nad otwartymi przestrzeniami wodnymi, a także nad sporadycznymi miastami i miasteczkami. Leciała z prędkością światła, w ciasnej wiązce, od Yoralen do Northern Landing, prościutko jak po sznureczku, dokładnie jak sformułowała ją jedna osoba, docierając do drugiej. Operatorka w leżącym po drugiej stronie bieguna północnego Wenus mieście, włączyła kliknięciem dalekopis i odczytała na głos tekst wiadomości zgodnie z tym, co otrzymała.

Korvus powiedział jej:

— Zgadza się.

— W ciągu godziny wiadomość znajdzie się w rękach waszego przedstawiciela, pana Wilnedy!

Taśma perforowana z maszyny Operatorki nr 7 przesuwała się wzdłuż linii. Trafiała do maszyny zbierającej, gdzie jej zawartość była pobierana i ponownie perforowana na innej taśmie, która działała z prędkością ponad tysiąca słów na minutę. Taśma Operatorki 7 opuszczała maszynę i zwijana była w rolkę, a następnie umieszczona w magazynie pod miastem. Odtąd nie była już przydatna, chyba że dla celów referencyjnych.

Maszyna zbierająca pracowała jak szalona. Przyjmowała taśmy od siedemdziesięciu operatorów tak szybko, jak tylko byli w stanie je zapisywać. Pobierała wiadomości w miarę ich napływania do maszyny, mechanicznie preferując tę, która znajdowała się przed innymi na przesuwających się taśmach. Taśma główna przesuwała się bez przerwy z prędkością 1100 słów na minutę, przyjmując wiadomości dalekopisowe z każdego miejsca na północnej półkuli Wenus, do każdej innej planety Układu Słonecznego. Była to bardzo zajęta maszyna, ponieważ nawet przy prędkości 1100 słów na minutę, często miewała wielogodzinne opóźnienia.

Synchronicznie kodowany sygnał z maszyny zbierającej opuszczał salę operacyjną i trafiał do sali nadawczej. Był wzmacniany i przerzucany poza miasto do małego, przysadzistego budynku na obrzeżach Northern Landing.

Tutaj nanoszony był na falę nośną i emitowany w niebo.

Ale nie samotnie. Nie pozbawiony ochrony. Na górnej połowie budynku wspierał się monstrualny reflektor paraboliczny, zamontowany na

obrotowych kołach żyroskopowych. Sygnał skupiany był w wiązkę. Wiązka składała się z dwóch komponentów. Wewnętrzną składową stanowiła spolaryzowana kołowo fala ultrawysokiej częstotliwości o długości pięciu centymetrów[1], modulowana zakodowanymi sygnałami maszyny zbierającej dalekopisu. Składową zewnętrzną stanowiła radialnie spolaryzowana fala o częstotliwości jednego centymetra. Pancerz dla częstotliwości radiowej.

Była ona wyrzucana w niebo z reflektora, w postaci koncentrycznej fali, przez nadajnik o mocy tysiąca kilowatów. Fala uderzała w wenusjańską warstwę Heaviside'a. Zewnętrzna składowa przewiercała jonizację. Gryzła i kąsała. Walczyła i zmagała się z nią. Niszczyła jonizację, zwierając ją elektronicznie. I, jak to bywa w przypadku walki, przegrywała to spotkanie z kretesem. Wiązka napotykała na zaciekły opór. Infiltracja jonizacji rozrywała centralny komponent, niszcząc go i próbując pokonać.

Lecz człowiek zwyciężył nad naturą! Megawat energii, która w ciasnej wiązce wychodziła z budynku koło Northern Landing, wyłaniał się z warstwy Heaviside'a jako słaby, zanikający sygnał. Falował i trzeszczał. Rozpaczliwie pragnął położyć się i zasnąć. Jego właściwości kierunkowe były mocno zaburzone i był bardzo rozchwiany. Docierał do stacji przekaźnikowej zmęczony i zużyty.

Milion watów energii o ultrawysokiej częstotliwości na początku, a po dotarciu do stacji przekaźnikowej, znajdującej się zaledwie pięćset mil nad Northern Landing, sygnał można było mierzyć w mikrowoltach.

Ten, tak słaby i wątły sygnał, był jednak wychwytywany przez ochocze receptory. Był wzmacniany. Był odszumiany, filtrowany i czyszczony. I ponownie, o sto decybeli silniejszy i nieskończenie czystszy, sygnał był wyrzucany w postaci zwartej wiązki z gigantycznego reflektora parabolicznego.

Sygnał wędrował przez kosmos na odległość sześćdziesięciu siedmiu milionów mil. Płynął po rozległej cięciwie przez orbitę Wenus. Docierał do Stacji Wenus Równobocznej z mniejszym trudem niż pierwotna transmisja przedzierała się przez warstwę Heaviside'a. Tam sygnał był wzmacniany i demodulowany. Trafiał do maszyny rozdzielającej, gdzie wiadomości były mechanicznie sortowane i przesłane, każda do swego właściwego kanału, do innych maszyn zbierających. Dalej wiązki z Wenus Równobocznej były kierowane na Marsa i na Terrę.

Wiązka na Terrę, kończyła się na Lunie. Tutaj sygnał ponownie był umieszczany w wiązce dwuskładnikowej i emitowany z Luny uderzał w warstwę Heaviside'a Terry. Pojawiał się w atmosferze Terry, tak samo słaby i stłamszony, jak wtedy, gdy wychodził z warstwy wenusjańskiej. Trafiał do stacji na Bahamach, gdzie pozbawiany był zakłóceń i przekazywany do wiązek ziemskich. Następnie wchodził do maszyn rozdzielających, które sortowały wiadomości według miejsca przeznaczenia.

[1] Dzisiaj tego rodzaju fale centymetrowe zaliczane są do jeszcze wyższego pasma częstotliwości niż fale ultrakrótkie (UKF) – mianowicie do fal superkrótkich (SKF). Pozostawiam jednak konsekwentnie stosowane przez Autora określenie „ultra" (przyp. tłum.).

Różne wiązki rozprowadzały wiadomości po całej powierzchni Ziemi, a ta, która przenosiła wiadomość Korvusa, trafiła w końcu do stacji przy Ten Mile Road i Woodward. Z tej stacji, położonej na obrzeżach Detroit, wiadomość trafiła kablami naziemnymi do hotelu International.

Dalekopis w biurze hotelu zaczął szybko klikać. Wiadomość dla Wilnedy dotarła na miejsce.

Pięćdziesiąt pięć minut po tym, jak operator poinformował Korvusa, że minie mniej niż godzina, Wilneda skomentował żartobliwie otrzymaną wiadomość:

— A więc Korvus znowu upił się zeszłej nocy…

Dotarcie wiadomości Korvusa do Wilnedy kończy także jeden z etapów naszej opowieści. Nie jest on ważny. Istniało sto pięćdziesiąt innych wiadomości, których drogę można by prześledzić, w taki sam sposób, a każda z nich byłaby równie mocno interesująca dla osób lubujących się w opisach działania służby łączności międzyplanetarnej. Jednakże nie jest to czasopismo techniczne. Pełniejszą charakterystykę różnych faz, przez które przechodzi wiadomość, gdy opuszcza miasto na Wenus, w celu przekazania na Terrę, można znaleźć w Communications Technical Review, tom XXVII, numer 8, strony 411-716. Czytelników, którzy zainteresowani są bardziej szczegółowymi aspektami technicznymi powyższego zagadnienia, odsyłamy do tego artykułu.

Tak się jednak składa, że wiadomość Korvusa została wybrana spośród setek wiadomości tylko z jednego powodu. W czasie, gdy wiadomość Korvusa przechodziła przez maszyny rozdzielające na Stacji Wenus Równobocznej, w śluzie powietrznej tej stacji pojawił się problem natury materialnej.

Był to niespodziewany gość.

Don Channing popatrzył na panel czujników w swoim biurze i zmarszczył ze zdziwieniem czoło. Nacisnął brzęczyk i powiedział do komunikatora na swoim biurku.

— Zorientuj się, kto to jest, dobrze, Arden?

— On nie był umówiony — odpowiedział mu głos Arden Westland.

— Wiem o tym. Ale spodziewałem się kogoś, odkąd John Walters przeszedł na emeryturę w zeszłym tygodniu. Wiesz, dlaczego.

— Masz nadzieję, że zajmiesz jego miejsce — powiedziała dziewczyna rozbawionym głosem. — Ja też mam taką nadzieję. Żeby ktoś inny siedział całymi dniami i próbował zmusić cię do przejścia na emeryturę, aby to on mógł zająć twoje miejsce!

— Posłuchaj, Arden, ja nigdy nie próbowałem zmusić Waltersa do przejścia na emeryturę.

— Nie, ale kiedy rozeszły się wieści, że on o tym myśli, zacząłeś myśleć o zajęciu jego stanowiska. Nie martw się, wcale cię z tego powodu nie winię. — Nastąpiła dłuższa chwila ciszy, po czym jej głos zabrzmiał ponownie. — Nasz gość to dżentelmen, który nazywa się Francis Burbank. Przyleciał lataczem z szoferem, i w ogóle.

— Wielka szycha, co?

— Tylko spokojnie. Właśnie wchodzi do biura.

— Rozumiem, że chce się ze mną widzieć? — zapytał Don.

— Myślę, że on przyleciał tutaj, żeby rządzić! Jeśli jego wygląd jest jakąś wskazówką, będziesz musiał wynieść się z biura Waltersa.

Zapadła cisza. Po drugiej stronie komunikator został wyłączony, co sprawiło, że Channing zaczął się denerwować. Wolałby słyszeć wymianę zdań między sekretarką a przybyszem. Potem, zamiast zapowiedzi, drzwi gabinetu otworzyły się gwałtownie i nieznajomy wszedł do środka. Od razu przeszedł do rzeczy.

— Pan jest Don Channing? Pełniący obowiązki dyrektora Interplanetary Communications?

— Tak.

— W takim razie, doktorze Channing, mam dla pana pewną wiadomość. Zostałem mianowany dyrektorem przez Międzyplanetarną Komisję Łączności. Ma pan powrócić na swoje stanowisko inżyniera elektronika.

— Och? — odparł Channing. Twarz mu opadła. — Tak jakby wierzyłem, że stanowisko dyrektora zostanie zaproponowane mnie.

— Odbyła się dyskusja na temat tej kwestii. Komisja zdecydowała jednak, że lepiej by było, gdyby na to stanowisko trafił człowiek o wykształceniu bardziej ekonomicznym. Dział Łączności osiągał zbyt niskie zyski. Uznano, że człowiek z doświadczeniem handlowym mógłby z dobrym skutkiem ograniczyć wydatki i tym podobne. Rozumie pan oczywiście ich rozumowanie — powiedział Burbank.

— Nie do końca.

— Cóż, wygląda to tak. Członkowie komisji uważają, że naukowcy nie są zwykle ludźmi, którzy biorą pod uwagę koszty eksperymentów. Budują tysiąctonowe cyklotrony, aby zmienić ołów o wartości jednego centa w ołów i złoto o wartości jednego i jednej dziesiątej centa. Do tego celu wykorzystują energię o wartości trzystu dolarów i maszyny warte miliony dolarów.

— Uważają oni, że człowiek o takim wykształceniu jak pańskie, nie będzie znał prawdziwego znaczenia wyrażenia „cięcie wydatków”. Nowa miotła lepiej zamiata, doktorze Channing. Musi być wiele miejsc, w których człowiek z doświadczeniem handlowym może zmniejszyć wydatki. Ja, jako dyrektor, będę to robił.

— Życzę panu powodzenia — oznajmił Channing.

— A więc nie ma pan do mnie żalu?

— Nie mogę powiedzieć żebym miał. To prawdopodobnie nie jest pańska wina. Nie mam nic przeciwko panu, ale czuję się zawiedziony decyzją Komisji. Nabrałem już doświadczenia w tej pracy.

— Komisja może wyznaczyć pana na mojego następcę. Jeśli w swojej pracy wykaże się pan znajomością kwestii handlowych, będę pana rekomendował.

— Dziękuję — stwierdził sucho Channing. — Czy mogę postawić panu drinka?

— Ja nigdy nie piję. I nie wierzę w to. Gdyby to ode mnie zależało, zabroniłbym alkoholu na terenie zakładu. Na Wenus Równobocznej byłoby lepiej bez niego.

Don Channing pstryknął włącznikiem komunikatora.

— Panno Westland, wejdzie pani do gabinetu?

Weszła z wyrazem zakłopotania na twarzy.

— To jest pan Burbank. Jego stanowisko daje mu kontrolę nad tym biurem. W przyszłości będzie pani podlegać bezpośrednio jemu. Raporty na temat działalności, projektów inżynieryjnych i tak dalej, które miałem wysłać dziś rano do Komisji, mają więc trafić jak najszybciej w ręce pana Burbanka.

— Tak, doktorze Channing. — W jej oczach pojawił się błysk, ale było w nich także zatroskanie i współczucie. — Czy mam je natychmiast przynieść?

— Są już gotowe?

— Właśnie miałam je nagrać na taśmę, kiedy pan mnie wezwał.

— W takim razie proszę przekazać je panu Burbankowi. — Channing zwrócił się do Burbanka. — Panna Westland przekaże panu raporty, o których wspomniałem. Są one kompletne i dokładne. Zapoznanie się z nimi pozwoli panu lepiej zrozumieć sytuację na Wenus Równobocznej niż całodzienna konferencja. Poproszę pannę Westland, aby wyniosła stąd moje rzeczy. Może pan traktować to miejsce, jako swoje biuro, ponieważ było ono używane przez Waltersa. A, w międzyczasie, ja muszę sprawdzić pewne eksperymenty na dziewiątym poziomie. — Channing przerwał. — Wybaczy mi pan?

— Tak, jeśli panna Westland wie, gdzie pana znaleźć.

— Będzie wiedziała. Poinformuję ją o miejscu mojego pobytu.

— Może będę chciał się z panem skonsultować, po przeczytaniu raportów.

— Absolutnie ma pan do tego prawo. Auto-przywołanie może mnie odnaleźć w dowolnym miejscu na Wenus Równobocznej, jeśli nie będzie mnie w miejscu, do którego zadzwoni panna Westland.

Don Channing zatrzymał się przy biurku Arden.

— Zostałem wylany — powiedział jej.

— Opuszczasz Wenus Równoboczną? — zapytała z niepokojem.

— Nie, moja blond piękności, zostałem wyrzucony z powrotem do mojego dawnego biura.

— Nie mogę pójść z tobą? — poprosiła dziewczyna.

— Nie. Masz tu zostać i być miłą, układną Matą Hari. Temu ptaszkowi wydaje się, że może kierować Interplanetary Communications jak autobusem lub fabryką. Znam ten typ ludzi i wiem, że pierwsze, co zrobi, to doprowadzi Interplanetary Communications do ruiny. Informuj mnie o każdej komplikacji, dobrze?

— Jasne. A ty dokąd teraz idziesz?

— Idę na dół po Walta Franksa. Będziemy badać przezroczystość nowego rodzaju szkła.

— Nie wiedziałam, że badania optyczne podlegają waszej kompetencji.

— Te badania będą polegały na wizycie na dziewiątym poziomie.

— Nie możesz zabrać mnie ze sobą?

— Nie dzisiaj — wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Twój nowy szef nie wierzy w takie zło, jak spoglądanie na świat przez dno szklaneczki. Musimy zachowywać się chlubnie. Mamy zapomnieć o zabawie. Pracujemy teraz pod kierownictwem człowieka, który skomercjalizuje elektronikę do poziomu sztuki.

— Nie upij się tylko. On może chcieć wiedzieć, w której szafie są przechowywane elektrony.

— Nie zamierzam pić aż tyle. Walt i ja musimy pogadać — powiedział. — A w międzyczasie wynieś moje graty z biura i zanieś je do biura elektroniki. Będę ich tam potrzebował.

— Okej, Don — powiedziała. — Do zobaczenia później.

Channing wyszedł, aby udać się na dziewiąty poziom. Po drodze zatrzymał się tylko na tyle, aby zabrać ze sobą Walta Franksa.

Przy wysokiej szklance pełnej piwa, Channing opowiedział Franksowi o wizycie Burbanka. Oraz jej powodzie.

Tylko jedna rzecz utkwiła Franksowi w pamięci.

— Czy powiedziałeś, że on może zamknąć „U Joego”? — zapytał Franks.

— Stwierdził, że gdyby to było w jego mocy, to by to zrobił.

— Niech Bóg broni. Gdzie pójdziemy, żeby być sami?

— Sami? — parsknął Channing. Sala barowa nawet teraz była w połowie wypełniona ludźmi, jako że był to jedyny lokal z alkoholem, w promieniu sześćdziesięciu kilku milionów mil.

— Wiesz, co mam na myśli.

— Mógłbym przemycić parę skrzynek piwa — zasugerował Don.

— A nie moglibyśmy przemycić jego w kosmos?

— Byłoby to bardzo pożądane. Ale obawiam się, że on tu zostanie. Do diabła, dlaczego na takie stanowisko zawsze muszą mianować jakiegoś pomylonego politycznego kumpla? Mówię ci, Walt, on musi ważyć ze dwieście funtów. Kiedy siada, brzuch mu zwisa na kolana.

Walt zmierzył wzrokiem od góry do dołu smukłą sylwetkę Channinga.

— I dobrze, przynajmniej nie będzie kazał siadać na kolanach Westland, skoro są zajęte przez jego brzuchol.

— Ja nigdy nie kazałem siadać Westland u mnie na kolanach…

— Nie?

— …w czasie godzin pracy! — dokończył Channing. Uśmiechnął się do Franksa i zamówił kolejne piwo. — A jak pod nowymi rządami poradzi sobie Biuro Kontroli Wiązki?

— Odpowiem na to pytanie, kiedy zobaczę, jak nowe rządy potraktują Biuro Kontroli Wiązki — odparł Franks. — Wątpię, by on mógł wiele namieszać w moim biurze. Wiesz, że nie ma zbyt wielu tańszych sposobów na sterowanie wiązką.

— Tak. Raczej jesteś bezpieczny.

— Ale naprawdę nie mogę zrozumieć, dlaczego nie dali ci tego stanowiska. Zajmowałeś się wszystkimi sprawami od grudnia zeszłego roku, kiedy Walters zachorował. Dobrze sobie radziłeś.

— To, że dobrze sobie radziłem, oznacza tylko, że stosowałem metody i pomysły Waltersa. Komisja najwyraźniej chce czegoś nowego. Ergo – nowa miotła.

— Osobiście wolę powiedzenie, że stare buty są wygodniejsze — stwierdził Franks. — Powiedz tylko słowo, Don, a potraktuję go dawką wysokiego napięcia. To go powinno wyleczyć z dyrektorskich zapędów.

— Myślę, że lepszym rozwiązaniem byłaby praca dla naszego ptaszka. Wtedy, kiedy odejdzie, dostanę jego rekomendację.

— Pfff — prychnął Franks. — Po prostu mianują kolejnego politycznego kumpla. Próbowali tego już wcześniej i spróbują ponownie. Ciekawe, z której on jest kliki.

Przy barze zadzwonił telefon, a barman, po odebraniu, machnął ręką na Walta Franksa.

— Szukają cię w twoim biurze — poinformował go barman. — A poza tym — dodał do Channinga — jeśli mam obskoczyć lunch dla trzech tysięcy ludzi, to ty też powinieneś już sobie pójść. Wiesz, że jest już prawie jedenasta i zaraz przyjdzie pierwsza partia pięciuset osób.

Nie był do końca dokładny, jeśli chodzi o liczby. Na Wenus Równobocznej mieszkało niecałe dwa tysiące siedemset osób. Pracowali na trzy ośmiogodzinne zmiany, po około dziewięćset osób na zmianę. Godziny obiadów i kolacji były tak rozłożone w czasie, że w dużej sali obiadowej w żadnej chwili nie znajdowało się więcej niż około dwieście osób. Bar, jak należy wspomnieć, znajdował się w mniejszym pomieszczeniu na końcu znacznie większej stołówki.

Stacja przekaźnikowa Wenus Równoboczna była cudem nowoczesnej inżynierii, jeśli wierzyć książkom. Właściwie, była to asteroida, którą zepchnięto na orbitę wokół Słońca, tworząc praktyczną demonstrację rozwiązania problemu trójkąta równobocznego, z dziedziny teorii trzech poruszających się ciał. Był to długi cylinder, o długości około trzech mil i średnicy około mili.

Z pierwotnej asteroidy niewiele pozostało. W chwili obecnej większość oryginalnej skały została usunięta, aby zrobić miejsce dla stale rosnących zasobów personelu i materiałów, potrzebnych do obsługi stacji przekaźnikowej. To, co wcześniej było asteroidą z zamontowanymi kilkoma maszynami, obecnie stało się ogromnym konglomeratem maszyn i ludzi. Wnętrze, dawniej wypełnione gąbczastą skałą, zostało podzielone na biura, pokoje, korytarze i tak dalej, poprzedzielane stalowymi płytami. Zewnętrzna powierzchnia, niegdyś surowa i groźna, teraz prawie cała była z błyszczącej stali. Mała asteroida, niewielki obiekt, była znacznie mniejsza od obecnej stacji przekaźnikowej, która wyszła poza asteroidę już wkrótce

po tym, jak ludzie odkryli, że możliwa jest nieprzerwana komunikacja między planetami.

Obecnie na tej stworzonej przez człowieka asteroidzie, mieszkało dwa tysiące siedemset osób. Były tam sklepy, biura, miejsca wypoczynku, kościoły, małżeństwa, zgony i wszystko inne, oprócz podatków. Oceniając zgodnie z liczbą mieszkańców, było to małe miasto.

Wenus Równoboczna obracała się wokół swojej osi. Na wewnętrznej powierzchni powłoki znajdowały się domy ludzi – nie domki, lecz prostopadłościany mieszkalne, jedno-, dwu-, trzy-, sześciopokojowe. Obrót powodował powstanie sztucznej grawitacji o sile nieco większej niż jedno ziemskie g. Powyżej tej zewnętrznej warstwy mieszkań, rozpoczynały się biura. Biura, centra rekreacyjne i tak dalej. W centralnej części, gdzie grawitacja była zerowa lub prawie zerowa, umieszczono maszyny automatyczne. Żyroskopy, urządzenia do wyszukiwania wiązek, magazyny, instalacje powietrzne, farmy hydroponiczne i wszystkie inne obiekty, które do dobrego funkcjonowania potrzebowały niewielkiej lub żadnej grawitacji.

To była Równoboczna Stacja Przekaźnikowa Wenus, umiejscowiona sześćdziesiąt stopni przed planetą Wenus, na jej orbicie. Stacja przekaźnikowa znajdowała się często bliżej Terry niż Wenus i stanowiła doskonałe miejsce do przekazywania wiadomości, gdy Mars lub Terra znajdowały się po drugiej stronie Słońca. Rzadko była ona bezczynna, ponieważ rzadko się zdarzało, by Mars, Wenus i Terra znajdowały się w takim położeniu, że bezpośrednia łączność między tymi trzema planetami była możliwa.

To było centrum Interplanetary Communications. Tu znajdowało się główne biuro firmy. Było to serce łączy komunikacyjnych systemu i jako takie było dobrze obsadzone. Z Wenus Równobocznej płynęły polecenia dotyczące wszystkich spraw. Wenus Równoboczna była delikatną organizacją, stąd też obecne na każdym kroku oficjalne możliwości i personel biurowy.

To była organizacja, którą Don Channing miał nadzieję kierować. Zamknięta korporacja, której przyświecał jeden cel – łączność międzyplanetarna!

Channing zastanawiał się, czy wezwanie dla Walta Franksa miało oficjalny charakter. Wracając do biura elektroniki, Don nacisnął przycisk komunikatora i zapytał:

— Czy jest tam Walt?

Odezwał się głos Arden:

— Nie, ale Burbank jest w biurze Franksa. Chcesz posłuchać?

— Podsłuchiwaczka! Używasz komunikatora?

— Pewnie.

— Lepiej go wyłącz — ostrzegł ją Don. — Wiesz, że Burbank nie jest głupi, a na tych urządzeniach są lampki i kontrolki ostrzegawcze, które informują, czy ktoś ma otwarte połączenie. Nie chciałbym, żebyś została zwolniona za podsłuchiwanie.

— W porządku, ale robiło się ciekawie.

— Jeśli właściwie oceniam sytuację — stwierdził Channing — zanim się to skończy, stanie się interesujące dla nas wszystkich!

Siedem dni upłynęło jeden po drugim, w monotonnym korowodzie. Siedem dni w świecie o stałym klimacie. Tydzień wyznaczany jedynie zmianami roboczymi i zegarami, które odmierzały te ośmiogodzinne okresy. Siedem dni bez deszczu, zimna czy upału. Siedem dni nieprzerwanego słońca, które z oślepiającym blaskiem wpadało i wypadało przez uszczelnione iluminatory, pojawiając się i znikając razem z obrotem stacji.

Lecz w biurach sprawy nie wyglądały tak spokojnie. Nie było tu monotonii, która mogłaby stać się irytująca. Nie żeby w dziale technicznym monotonia była kiedykolwiek poważnym problemem, ale w tym świętym sanktuarium wszystkiego, co nie działa tak, jak powinno, nawet zwykła szarpanina była gorsza. Nie było żadnej rzeczy, którą można by wskazać palcem, jako bezpośrednią przyczynę tej sytuacji. Była ona raczej cichej, zakonspirowanej natury. W poniedziałek Burbank rozesłał komunikat, w którym zlikwidował możliwość wysyłania przez personel darmowych wiadomości. We wtorek wyrzucił do kosza wieloletni zwyczaj zezwalający statkom zaopatrzeniowym na bezpłatne przewożenie paczek od przyjaciół z domu. W środę Francis Burbank zadecydował o wprowadzeniu godziny policyjnej w jedynym w swoim rodzaju przybytku z piwem. Uczynił to po tym, jak stwierdził, że całkowite odcięcie dostępu do wszelkiego rodzaju alkoholi, może łatwo doprowadzić do problemu bardziej istotnego dla morale: w wolnym czasie nie było zbyt wiele do roboty. W czwartek ustanowił sztab twardogłowych cenzorów dla sali kinowej. W piątek nałożył podatek na papierosy i słodycze. W sobotę zainstalował zegary z kartami, we wszystkich laboratoriach i biurach, gdzie przed jego przyjściem ludzie przychodzili do pracy z półgodzinnym opóźnieniem i pracowali w nocy o godzinę dłużej.

W niedzielę wpadł w poważne kłopoty!

Don Channing wtargnął do gabinetu dyrektora z gniewem na twarzy.

— Proszę posłuchać — oznajmił, — przez lata uważaliśmy, że każdy mężczyzna, kobieta i dziecko, którzy zechcą tu przylecieć, warci są wszelkich wolności i względów, jakie jesteśmy w stanie im zaoferować. I co teraz z tym przeklętym podatkiem od papierosów? I od słodyczy? A kto panu kazał zabraniać naszym ludziom aby informowali swoje rodziny, że nadal cieszą się dobrym zdrowiem? I dlaczego mamy zabraniać im wysyłania paczek ze słodyczami, ciastkami, pamiątkami, ubraniami, mydłem, środkiem na komary, alkoholem czy czymkolwiek innym? Dlaczego przez pół dnia nie wolno pić piwa? Czy pomyślał pan kiedyś, że godzina policyjna to coś, co można stosować tylko wtedy, gdy dla wszystkich obowiązuje jeden i ten sam czas? Na Wenus Równobocznej, panie Burbank, szósta wieczorem to dla jednej grupy dwie godziny po kolacji, dla drugiej dwie godziny po wyjściu do pracy, a dla trzeciej - środek snu. A co to za sprawa z tym wycięciem z filmów wszystkich scen

miłosnych, picia, kobiet wampów, bandytyzmu, kadrów sypialni, morderstw i cycatych dziewczyn w obcisłych swetrach? Jesteśmy wybraną grupą, dobrze przygotowaną do dbania o naszą moralność. Każdy mężczyzna lub kobieta, którzy zejdą na niewłaściwe tory, są stąd szybko wyrzucani. Dlaczego po latach wolności osobistej znaleźliśmy się pod władzą prawdziwej dyktatury?

Francisa Burbanka jego przemowa kompletnie nie wzruszyła.

— Prosiłbym pana, aby na przyszłość trzymał się pan spraw swojego laboratorium — powiedział Channingowi. — Być może właśnie to pańska niedbałość w tego rodzaju sprawach była powodem, dla którego Komisja wolała wybrać na to stanowisko kogoś lepiej przygotowanego. Mówi pan o wielu rzeczach. Będzie ich jeszcze więcej. Odpowiem jednak na niektóre z pańskich pytań. Dlaczego mamy pozwalać, aby nasze zyski były zjadane przez ludzi, którzy za darmo wysyłają wiadomości do swoich znajomych, na wszystkich najdrobniejszych nawet planetach? Dlaczego cenne miejsce na cenne zapasy ma być zajmowane na potrzeby osobistych przysług między przyjaciółmi? A jeśli personel chce palić i pić, niech płaci za ten przywilej! Pomoże to pokryć wysokie koszty transportu tego rodzaju bezużytecznych rzeczy z najbliższej planety, a także zaoszczędzi cenną przestrzeń magazynową!

— Ale w ten sposób wzbudza pan ferment wśród pracowników — sprzeciwił się Channing.

— Każdy, kto tego chce, może odejść! — warknął Burbank.

— Może być panu trudno znaleźć do pracy ludzi, którzy zechcą spędzić życie w miejscu, gdzie nie widać nieba ani świeżego powietrza. Tutejsi pracownicy mogą wrócić na swoje planety i przekonać się, że zapach świeżego, wiosennego powietrza jest bardziej pożądany niż klimat, który nigdy nie odbiega od osobistego optimum. Od czasu do czasu zastanawiam się, czy nie dałoby się u nas wywołać jakiejś pory zimnej lub deszczowej, tylko po to aby mieszkańcy Wenus Równobocznej mogli doświadczyć takich niespodzianek, jakie można spotkać w Chicago czy Nowym Jorku. Do diabła, nawet w Canalopolis bywają od czasu do czasu ulewy!

— Proszę wracać do swojego laboratorium — oznajmił zimno Burbank. — I pozwolić mi prowadzić stację. Dlaczego mamy bez sensu wydawać pieniądze na rozpieszczanie ludzi? Nie obchodzi mnie, czy w Canalopolis od czasu do czasu zdarza się burza, nie jesteśmy na Marsie, tylko na Wenus Równobocznej. Niech pan zajmie się swoją stroną działalności, a ja zrobię to, co uznam za stosowne dla stacji!

Channing w myślach uniósł ręce i dosłownie wymaszerował z biura. Oto dobrze zgrana grupa ludzi została podziurawiona przez ślimaka. Zszedł na dziewiąty poziom i walnął pięścią w zamknięte drzwi Joe'go. Drzwi pozostały zamknięte.

Channing łomotał pięściami aż zakrwawił kostki. W końcu otworzyły się drzwi w korytarzu, położone pięćdziesiąt metrów dalej i wyjrzał z nich

jakiś człowiek. W ciągu trzydziestu sekund drzwi do Joego otworzyły się i Channinga mógł wejść do środka.

Joe szybko zamknął za nim drzwi.

— Co ty u diabła tu kombinujesz, Joe – melinę założyłeś?

— Następnym razem, kiedy będziesz chciał wejść — poinformował go Joe, — zapukaj dwa razy do 902, raz do 914, a potem cztery razy tutaj. Wpuścimy cię. Tylko nie gadaj zbyt głośno. — Joe przyłożył palec do ust i powoli mrugnął okiem. — Nawet ściany mają uszy — oznajmił scenicznym szeptem.

Zaprowadził Channinga do pomieszczenia i zapalił światło. Po sali rozeszło się szuranie mnóstwa ludzi, którzy próbowali ukryć swoje szklanki pod stołem.

— Spokojnie! — zawołał Joe. — To tylko dr Channing.

Atmosfera w pomieszczeniu rozluźniła się.

— Chcę coś mocniejszego — powiedział do Joego Channing. — Właśnie przeszedłem trzy rundy z Jego Upierdliwością i wynieśli mnie stamtąd po wyliczeniu.

Kilka osób w zasięgu słuchu zaczęło go o to wypytywać. Channing wyjaśnił, co się wydarzyło. Ludzie wydawali się zadowoleni, że Channing zrobił dla nich wszystko, co było w jego mocy. W pomieszczeniu zapanowała zwykła rutyna.

Zapukano do drzwi zgodnie z sygnałem, otworzono je więc, aby wpuścić Walta Franksa i Arden Westland. Franks wyglądał tak, jakby przeszedł ostry trening w betoniarce.

— Szkocka — powiedziała Arden. — I szklaneczkę piwa dla pań.

— Co mu się stało?

— Próbował trzymać się ostatnich sugestii Burbanka.

— Pracujesz zbyt ciężko — skarcił go łagodnie Channing. — Przypuszczam, że to nieodpowiedni moment, aby o tym wspominać, ale czy to ześlizgnięcie się wiązki miało coś wspólnego z twoim stanem – czy też było odwrotnie?

— Wiesz przecież, że ja osobiście nie mam nic wspólnego z kontrolą wiązki — oznajmił Franks. Wyprostował się i popatrzył wyzywająco na Channinga.

— Nie denerwuj się. Co to było?

— Nasz Genialny Umysł, tam na górze, wezwał mnie, aby sprawdzić, czy są jakieś sposoby lub środki na zacieśnienie wiązki. Powiedziałem mu, że oczywiście, możemy zacieśnić ją praktycznie do zera. Zapytał mnie, dlaczego nie utrzymamy wiązki na stałej szerokości i nie zaoszczędzimy na rozproszonej energii. Twierdził, że moglibyśmy zmniejszyć moc w stosunku dwa do jednego, gdyby większa jej część trafiała do stacji, zamiast rozlewać się po całym firmamencie. I ja, głupi, zgodziłem się z nim. Miał rację. Można to zrobić. Ale tylko wtedy, gdy cały układ jest nieruchomy. Próbowałem opracować jakiś sposób magnetycznego sterowania wiązką, który kompensowałby normalną zmienność spowodowaną oddziaływaniami magnetycznymi. Jak dotąd nie udało mi się.

— Tego nie da się zrobić. Wiem, bo pracowałem nad tym problemem przez trzy lata, z najlepszymi mózgami w Układzie. Jak dotąd, jest to niemożliwe.

Ich uwagę przyciągnęło kliknięcie. To była poczta pneumatyczna. Z tuby wypadł cylinder, Joe otworzył go i podał Franksowi załączony papier.

Ten przeczytał:

Walt: Wysyłam to do ciebie, do Joego, ponieważ wiem, że tam właśnie jesteś i myślę, że powinieneś to szybko otrzymać.

Helen S.

Walt uśmiechnął się lekko i powiedział:

— Dobra sekretarka to piękna rzecz. Piękne rzeczy, są podziwiane i zawsze cieszą. Helen ma obie te cechy. Jest prawdziwym klejnotem.

— Tak, wiemy. Co jest w tym liście?

— To kolejny komunikat od naszego troskliwego szefa. Pozbawia mnie kontroli nad trzystoma ludźmi, których zatrudniam przy kontroli wiązki. On sam ma przejąć za nich odpowiedzialność. Praktycznie zostałem pozbawiony pracy!

— Niech będą dwie szkockie — powiedział Channing do Joego.

— Niech będą trzy — wtrąciła Arden. — Ja też muszę dla niego pracować!

— Czy to takie złe? — zapytał Channing. — Wszystko, co musisz robić, to uważnie słuchać i robić, co ci każe. My musimy też odpowiadać przed tym tytanem intelektu.

— Tak — oznajmiła Arden — ale wy nie musicie przez cały dzień wysłuchiwać, jak jakiś głupek zadaje głupie pytania. Doprowadza mnie to do szału.

— Chciałbym się dowiedzieć — mruknął Franks — skąd ten pomysł, żeby mnie odsunąć od roboty? Cholera, od lat zajmuję się kontrolą wiązki. Mam najwspanialszy zespół na świecie. Myślę, że naprawdę potrafią przewidzieć każde przesunięcie wiązki i skompensować je. Sam ich wybrałem i jestem z nich dumny. A teraz — powiedział załamany — nie mam żadnego zespołu. Prawdę mówiąc, zostało mi bardzo niewielu ludzi. Tylko kilkunastu pracowników mojego laboratorium. Zanim to się skończy, będę musiał sam wrócić do biegania z miernikiem.

To był niezły zjazd w dół. Z szefa ponad trzystu wysoko opłacanych, wysoko cenionych, inteligentnych techników, Walt Franks obecnie stał się przełożonym całego tuzina techników laboratoryjnych. Było to wyraźne obniżenie jego statusu w Łączności.

Channing dokończył drinka i widząc, że uwaga Franksa powędrowała gdzie indziej, powiedział do Arden:

— Dziękuję, że się nim zajmujesz, ale nie zużyj na niego całej swojej sympatii. Czuję, że niedługo będę potrzebował twojego ramienia do wypłakania.

— Zawsze, kiedy tylko będziesz potrzebował miękkiego ramienia — odpowiedziała wspaniałomyślnie Arden — daj mi znać. Zaraz przybiegnę.

Channing wyszedł. Przez resztę dnia kręcił się nerwowo po okolicy. Odwiedził parę razy bar, ale generalnie atmosfera tego miejsca zaczęła go przygnębić. Z przybytku wypoczynku, śmiechu i przyjemności, lokal Joego zmienił się w salę wspomnień i wyrzutów sumienia, miejsce, w którym można utopić swoje problemy, zatruć je lub zakonserwować w alkoholu.

Poszedł obejrzeć miejscowy film, reklamowany jako jeden z najlepszych thrillerów od czasów DeMille'a. Stwierdził, że wszystkie interesujące fragmenty zostały wycięte, a jedyne, co pozostało, to dosyć chaotyczny portret pulchnego detektywa, który znajduje bezsensowne wskazówki i w końcu przestępcę. Na końcu pojawiła się sugestia, że detektyw i przestępca stoczyli walkę, ale to, czy odbyła się ona z użyciem pistoletów, kawałków kamieni, noży, kremówek czy też słów, pozostawiono wyobraźni. Należało również założyć, że on i bohaterka, która popadała w częściowe zaciemnienie za każdym razem, gdy siadała, w końcu poznali się na tyle, by po filmie trzymać się za ręce.

Channing wyszedł z kina po obejrzeniu tego dzieła i stwierdzeniu, że jedyna kreskówka też została zablokowana, ponieważ pokazywała nieszkodliwą krowę bez szortów.

Zwadził o Joego, po butelkę najlepszego trunku, i z rozczarowaniem udał się do swojego mieszkania. Przed ósmą wieczorem Don Channing spał już, kompletnie ubrany. Łóżko wierzgało na boki i nie chciało utrzymać się na równym poziomie, ale Channing znalazł krawat, przywiązał się nim mocno i odpłynął w pięknym, kłębiącym się obłoku.

Obudził się z modelowym kacem. Wypił siedem szklanek wody i zataczając się, poszedł pod prysznic. Piętnaście minut lodowatych igiełek i odrobina kawy, przywróciło go częściowo do własnego, radosnego stanu. Skierował się korytarzem w stronę windy.

W swoim gabinecie znalazł notatkę, w której nakazano mu stawić się na spotkaniu w biurze Burbanka. Jęcząc w udręce, Don poszedł do gabinetu dyrektora, spodziewając się najgorszego.

No i było źle. Prawdę mówiąc wystarczająco źle, aby doprowadzić wszystkich uczestników narady do pijaństwa. Burbank pytał o zdanie na każdy temat, a potem roztrząsał przekazywane mu opinie, kompletnie nie zwracając uwagi na ich poprawność. Natomiast wielokrotnie powtarzał co on myśli o tej sprawie, mieszając to ze zdegustowanymi uwagami odnośnie niezdolności personelu stacji do zrobienia czegokolwiek naprawdę wartościowego.

— Oczywiście — opowiadał z gniewem — wiem, że pracujecie. Ale czy z pańskiego laboratorium, panie Channing, wyszły jakieś nowe odkrycia?

Ktoś już miał przypomnieć Burbankowi, że Channing ma tytuł doktora, ale Don pokręcił głową.

— Pracujemy nad wieloma drobnymi rzeczami — odparł Channing. — Nie potrafię powiedzieć, czy była jakaś jedna duża rzecz, na którą

moglibyśmy wskazać. W miarę postępów wprowadzamy je do użytku. Razem wzięte, stanowią one całkiem uczciwy kawałek roboty.

— Co, na przykład? — zagrzmiał Burbank.

— Ostatnią z innowacji było ulepszenie maszyny łączącej, które pozwoliło uzyskać więcej niż tysiąc słów na minutę.

— Do tego czasu najlepszy wynik wynosił około ośmiuset słów — powiedział Burbank. — Myślę, że zbyt długo spoczywał pan na laurach. Jeśli nie przyniesie mi pan czegoś wystarczająco dużego, do rozreklamowania, będę musiał podjąć odpowiednie kroki.

— A teraz pan, panie Warren — kontynuował Burbank. — Pana zadaniem jest kierowanie działem utrzymania. Czy mogę zapytać, dlaczego zewnętrzny kadłub nie jest pomalowany?

— Ponieważ byłoby to marnotrawstwo farby — odpowiedział mu Warren. — Proszę sobie wyobrazić, ile wynosi powierzchnia cylindra o długości trzech mil i średnicy jednej mili. To prawie jedenaście mil kwadratowych! Jedenaście mil kwadratowych do pomalowania, z zawieszonych na zewnątrz rusztowań.

— Użyjcie krzeseł bosmańskich — warknął Burbank.

— Krzesła bosmańskie się nie nadają — poinformował Burbanka Warren. — Musi pan pamiętać, że dla każdego, kto próbuje pracować na zewnętrznym kadłubie, kadłub staje się sufitem i znajduje się bezpośrednio nad jego głową.

— A poza tym — dodał Warren — jeśli pan pomaluje kadłub, to chyba będzie pan musiał prowadzić tę stację sam. Jak pan myśli, dlaczego pozostawiono ją błyszczącą?

— Jeśli pomalujemy kadłub — upierał się Burbank — będzie wyglądał bardziej reprezentacyjnie niż w tym nijakim stalowym kolorze.

— Ten stalowy kolor jest tak błyszczący, jak tylko się da — warknął Warren. — Chcemy pozbyć się jak największej ilości ciepła, wypromieniowując je. Jeśli pan nałoży na kadłub stacji dowolną farbę, to będzie miał pan tu całe mnóstwo ciepła.

— To brzmi interesująco. Zaoszczędzimy na kosztach ogrzewania…

— Ty idioto — rzucił ostro Warren. — Ty głupcze. Jasne, że będziemy mieli tu ciepło. Zaoszczędzimy trochę na kosztach ogrzewania. Ale czy zdajesz sobie sprawę, że nie będziemy mieli możliwości kontrolowania go? Obecnie mamy bezpieczny margines. Wypromieniowujemy tylko trochę więcej, niż otrzymujemy. Resztę nadrabiamy sztucznym ogrzewaniem. Ale zdarzały się sytuacje, kiedy z takich czy innych powodów trzeba było rozproszyć dużo energii i wtedy musieliśmy wyłączać kociołki. Co by się stało, gdybyśmy nie dali rady schłodzić tej przeklętej puszki po kawie? Upieklibyśmy się już po zatrudnieniu pierwszego nowego pracownika, którego temperatura ciała byłaby o pół stopnia wyższa od normalnej!.

— Zachowuje się pan jawnie buntowniczo — ostrzegł go Burbank.

— I tak miało być. A jeśli nadal będzie pan uparcie dążył do bezmyślnego upiększenia tego miejsca, zobaczy pan, że ja i mój zespół wręcz się zbuntujemy! Miłego dnia!

Wybiegł z biura i trzasnął drzwiami.

— Proszę zanotować, panno Westland. „Międzyplanetarna Komisja Łączności, Terra. Panowie, Michael Warren, kierownik utrzymania ruchu na Wenus Równobocznej, okazał się niechętny pewnym sugestiom dotyczącym wyglądu i/lub działania tej stacji. Proszę o jego natychmiastowe zastąpienie. Podpisano, Francis Burbank, Dyrektor”. — Zatrzymał się, aby zobaczyć, jaki wpływ ta wiadomość wywarła na ludzi siedzących przy stole. — Proszę to wysłać specjalną przesyłką!

Johnny Billings otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale zamknął je z trzaskiem. Westland popatrzyła na Burbanka, ale też nic nie powiedziała. Uśmiechnęła się chytrze do Channinga, a Channing odwzajemnił uśmiech. Przy stole też pojawiły się uśmiechy, bo wszyscy rozpoznali popełnioną gafę. Burbank właśnie kazał z międzyplanetarnej stacji przekaźnikowej łączności, wysłać list pocztową przesyłką specjalną. Na Terrę dotrze on nie wcześniej niż za ponad dwa tygodnie; dzięki wykorzystaniu urządzeń stacji, wiadomość znalazłaby się w rękach Komisji w ciągu godziny.

— To wszystko, panowie. — Burbank uśmiechnął się z satysfakcją. — Nasze następne spotkanie odbędzie się w najbliższy poniedziałek, rano!

— **P**anie Channing — odezwał się przyjemny głos Arden Westland. — Teraz, gdy zniknął już błahy wpływ tabu szef kontra sekretarka, czy zechce pan postawić mi drinka?

— Czy możesz powtórzyć to, słowo po słowie, i wyjaśnić mi o co chodzi? — mruknął Don.

— Mężczyzna nie powinien robić maślanych oczu do swojej sekretarki. Dziewczyna nie powinna uwodzić swojego szefa. Teraz, kiedy nie jesteś już pełniącym obowiązki dyrektora, a ja nie jestem już twoim chodzącym stenografem, co powiesz na odrobinę fraternizacji?

— Nigdy nie sądziłem, że zaproponuje mi to poganiaczka maszyny do pisania — odparł Channing, — ale chętnie to zrobię. O której godzinie to ma być? Czy zrobimy to otwarcie, czy też musimy przekraść się do mieszkania i po cichu walnąć sobie po maluchu?

— Walniemy sobie. To znaczy, jeśli zaufasz mi na tyle, aby wpuścić mnie do swojego mieszkania.

— Jestem śmiertelnie przerażony — poinformował ją Channing. — Ale jeśli nie zdołam obronić swojego honoru, musimy pamiętać, że nie jest prawdziwą porażką, gdy ktoś czegoś próbuje i mu się to nie uda!

— To brzmi jak niezła wymówka — stwierdziła Arden z uśmiechem. — Albo podstęp. Nie wiem, o które z nich chodzi. A może, panie Channing, właśnie mi powiedziano, że moje zaloty mogą nie być mile widziane?

— Zobaczymy — oznajmił Channing. — Będziemy musieli dokładnie zbadać tę sprawę. Nie mogę składać żadnych oświadczeń bez uprzedniego przeprowadzenia dokładnego dochodzenia w najróżniejszych warunkach. Proszę bardzo. Jeśli przejdziesz przede mną przez moje drzwi.

— Dlaczego? — spytała Arden.

— Żebyś nie mogła się wycofać w ostatnim możliwym momencie. Jak tam już cię wsadzę, pomyślę o tym, jak cię tam zatrzymać!

— Dopóki będziesz miał jakiś nielegalny płyn, zostanę. — Próbowała podroczyć się z Donem, ale nie udało jej się to, ponieważ miała zbyt małe doświadczenie we flirtowaniu. — Pamiętaj żeby go przynieść!

— **Z**a stare, dobre czasy — wygłosił toast Don, gdy wznieśli drinki.

— Nie. Za przyszłość — zaproponowała Arden. — Te stare, dobre czasy – one wszystkie były stare. Gdybyś do nich wrócił, musiałbyś jeszcze raz mieć przyjemność spotkania z Burbankiem.

— Grrrr — warknął Channing. — Tego nazwiska nie wymienia się w tym domu.

— Nie masz portretu naszego kochanego szefa, odwróconego twarzą do ściany, co? — spytała Arden.

— Wyrzuciłem go.

— Wypijemy za to. — Opróżnili kieliszki. — Ale wypijemy jeszcze jednego!

— Ja potrzebuję jeszcze jednego — stwierdził Channing. — Czy wyobrażasz sobie, że ten kretyn kazał mi wynaleźć coś wielkiego w ciągu siedmiu dni?

— Jasne. Na tej samej zasadzie, na jakiej chce wysłać list ze Stacji Równobocznej, zamiast wrzucić go po prostu do wiązki na Terrę. Głupota.

— Idiotyzm.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i wszedł Walt Franks.

— Słyszeliście najnowsze wieści? — zapytał z zapartym tchem.

— Nie — odparł Channing. Automatycznie sięgnął po kolejną szklankę. Nalał, a Walt patrzył, jak bursztynowy płyn pełznie w górę szklanki, prowadzony przez taflę białej piany.

— No to patrz! — Walt wręczył Channingowi urzędową kopertę. Była to oficjalna notatka, że na Wenus Równobocznej doszło do jedenastu awarii.

— Jedenaście! Co się dzieje?

— Genialny Umysł.

— Co on zrobił?

— Pamiętasz, jak odebrał mi jurysdykcję nad operatorami kontroli wiązek? No cóż, w ciągu ostatnich dziesięciu dni Burbank wprowadził kilka nowych rozwiązań, aby ograniczyć wydatki. Myślę, że ma nadzieję zwolnić parę setek ludzi.

— Co on robi, czy wiesz?

— Zmniejsza dyspersję. Zamierza zmniejszyć moc, wciskając więcej z rozproszonej wiązki w receptor. Ciaśniejsza wiązka utrudnia celowanie, ponieważ przy siedemdziesięciu milionach mil, za każdym razem, gdy mały Joey na Marsie zamacha podkową-magnesem na końcu sznurka, wiązka się chwieje. A przy siedemdziesięciu milionach mil, ile trzeba się namachać, żeby wąska wiązka zboczyła z celu?

— Normalna dyspersja wiązki z Wenus ma szerokość ponad tysiąca mil. Kołysze się i chwieje przez większą część tego łuku. Dlatego właśnie wybraliśmy taką określoną dyspersję. Gdybyśmy mogli nakierować ją jak strzałę, dyspersję byśmy zmniejszyli.

— Zgadza się. A on zacieśnił wiązkę do dyspersji mniejszej niż sto mil. W tej chwili, za każdym razem, gdy jakaś plama słoneczna zostanie walnięta centralnie w łeb przez swoją małżonkę, wiązka idzie w krzaki. W ciągu tygodnia traciliśmy wiązkę jedenaście razy. To więcej razy niż ja straciłem ją przez trzy lata!

— O.K. — zauważył Channing. — No i co z tego? Wielki Umysł jest za to odpowiedzialny. Będziemy siedzieć cicho i czekać na rozwój wypadków. W przypadku jakiegokolwiek pokazu umiejętności, możemy wsypać pana Burbanka. Napijesz się jeszcze?

— Masz więcej? Jeśli nie masz, mam kilka skrzynek pod łóżkiem w moim mieszkaniu.

— Mam całe mnóstwo — odparł Channing. — I będę tego potrzebował. Zostały mi dokładnie dwadzieścia dwie godziny na wynalezienie czegoś porównywalnego z telefonem, światłem elektrycznym, samolotem lub rozszerzającym się Wszechświatem! Idiotyzm. Nalej mi jeszcze, Arden.

Rozległo się pukanie do drzwi; jednocześnie odezwał się kobiecy głos.

— Czy mogę wejść?

To była sekretarka Walta. Wyglądała na zmartwioną. W jednej ręce wymachiwała kolejnym listem.

— Następny komunikat? — spytał Channing.

— Jeszcze gorzej. Notatka, że przez ostatnie trzy godziny przekazywano mniej niż dwanaście procent wiadomości!

— Pięć minut pracy na godzinę — zauważył Channing. — Skąd to dostaliśmy?

— Przyszło na wiązce Terry. Jest oznaczone jako numer siedemnaście, więc przypuszczam, że wcześniej podjęto szesnaście innych prób.

— Co Wielki Umysł zmajstrował tym razem? — wzburzył się Channing.

Wybiegł z mieszkania i szybkim krokiem skierował się do gabinetu dyrektora. Po drodze walnął ramieniem w drzwi, poleciał na przeciwległą ścianę, odbił się od niej, wyprostował się i pobiegł dalej. Trzy głowy wyskoczyły zza drzwi pokojów, żeby sprawdzić, kto narobił tyle hałasu.

Channing wpadł biegiem do biura Burbanka.

— Co się dzieje? — powiedział. — Zdaje pan sobie sprawę, że straciliśmy wiązkę? Co pan zrobił?

— To drobna trudność — odparł spokojnie Burbank. — Wkrótce to wyprostujemy.

— Wkrótce! Nasz statut nie zezwala na tak poważne przerwy w działaniu. Pytam ponownie: Co pan zrobił?

— Pan, jako inżynier elektronik, nie ma prawa mnie wypytywać. Powtarzam, że wkrótce rozwiążemy ten problem.

Channing parsknął i wypadł z biura Burbanka. Skierował się do Biura Kontroli Wiązki, skręcił za róg na jednej nodze i gwałtownie załomotał do drzwi.

— Chuck! — krzyknął. — Chuck Thomas! Gdzie jesteś?

Nie było odpowiedzi. Channing zawrócił spod biura wiązki i skierował się do głównego panelu sterującego w pobliżu śluzy powietrznej na końcu Wenus Równobocznej. Znalazł tam Thomasa, który zastanawiał się nad jakimś skomplikowanym urządzeniem.

— Chuck, na miłość boską, co się tu dzieje, u diabła?

— Myślałem, że wiesz — odpowiedział Thomas. — Burbank kazał ludziom zainstalować zestawy fotoelektrycznej mozaiki. Zamiast utrzymywać do sterowania wiązką ludzkich operatorów, zamierza wykorzystać do utrzymania Wenus, Terry i Marsa we wiązce, fotomozaikę.

— Wielki Boże. Próbowali tego w ubiegłym stuleciu, a po trzech dniach wyrzucili w cholerę. Gdzie jest teraz obsługa?

— Pakują się przed odlotem do domu. Zostali wylani!

— Natychmiast wezwij ich z powrotem! Każ im wracać do pracy. Wyłączcie te przeklęte fotomozaiki i używajcie ponownie sterowania ręcznego. Straciliśmy wszystkie wiązki, które mieliśmy wcześniej.

W tym momencie odezwał się sarkastyczny głos.

— Z jakiego powodu ingeruje pan w moje ulepszenia? — zaszydził głos. — Czy to możliwe, że bierze pan od pracowników łapówki, aby zapewnić im dalszą pracę, uniemożliwiając instalację lepszego sprzętu?

Channing zawirował w piruecie i walnął Burbanka z półobrotu. To był dobry cios, zadany w odpowiedniej chwili i ślicznie się zsynchronizował. Burbank poleciał na łeb, na szyję.

— No, dalej — Channing warknął ostro na Thomasa.

Charles Thomas sam nie był drobnym mężczyzną, ale po zastanowieniu się nad sto dziewięćdziesiątką[1] Channinga postanowił się podporządkować. Odszedł.

Channing potrząsnął Burbanka za ramię. Plasnął go po policzkach. Burbank otworzył oczy; rzucił oskarżycielskie spojrzenie, które pozostało nieme z powodu bardzo obolałej szczęki, języka i gardła.

— A teraz posłuchaj — warknął Channing. — Posłuchaj każdego mojego słowa! Sterowniki mozaikowe są bezużyteczne. Przychodzi ci do głowy jakiś powód, dlaczego? To z powodu opóźnienia. Przy odległościach planetarnych światło potrzebuje sporo czasu, aby dotrzeć do kolejnej planety. Wiązka światła chwieje się, zbacza z linii z powodu czynników zakłócających; zmienne pola magnetyczne, a nawet ugięcia światła spowodowane polami grawitacyjnymi powodują mikroskopijne zakrzywienia wiązki. A przy tym, Burbank, wystarczy mikroskopijna rozbieżność, żeby wszystko się posypało. Do sterowania wiązką trzeba mieć doświadczonych ludzi. Ludzi, którzy potrafią myśleć. Ludzi, którzy na podstawie doświadczenia potrafią powiedzieć, czy dane wahnięcie nie będzie trwało długo i wiązka powróci do równowagi za kilka sekund, albo że ten rodzaj wahań będzie się nasilał przez pół godziny, utrzyma swój

[1] Oczywiście w funtach (przyp. tłum.)

stan, a następnie powróci, przejdzie przez zero i znajdzie się na tym samym poziomie, po stronie minusowej.

— Ponieważ fale świetlne i centymetrowe są nieco odmienne pod względem zachowania, pole, które spowoduje kołysanie wiązki jednych, może nie mieć wpływu na wiązkę drugich. Dlatego twoja fotomozaika jest bezużyteczna. Mozaika fotoelektryczna to genialne urządzenie do utrzymywania samolotu w świetle reflektorów lub do celowania z szesnastocalowego działa, ale jest bezwartościowa dla jakichkolwiek zastosowań związanych z odległościami powyżej kilku milionów mil.

— Wezwałem więc pracowników z powrotem na stanowiska. I nie próbuj więcej niczego głupiego bez konsultacji z ludźmi, którym płaci się za myślenie!

Channing wstał i wyszedł. Gdy szedł po schodach na poziom mieszkalny, spotkał wielu zwolnionych wcześniej ludzi. Żaden z nich nie odezwał się słowem, ale wszyscy mieli na twarzach jasne, rozumiejące sytuację uśmiechy.

Poniedziałek rano! Burbank znów był sobą. Zniechęcająca nauczka, jakiej udzielił mu Don Channing, już mu przeszła, a on tryskał pomysłami. Z błyskiem w oku popatrzył na Franksa i powiedział:

— Jeśli nasze wiązki są zawsze w celu, to dlaczego konieczne jest stosowanie multipleksowanego zwielokrotnienia?

Franks uśmiechnął się.

— Myli się pan — wyjaśnił Burbankowi. — Nie zawsze trafiają w punkt. Odchylają się. Dlatego stosujemy zwielokrotnione transmisje, aby w przypadku chwilowej awarii jednej wiązki, któraś z pozostałych wiązek doprowadziła sygnał. Można to porównać do przywiązania pięciu lub sześciu lin do unoszonego kamienia. Jeśli jedna z nich pęknie, zawsze są pozostałe.

— A więc musimy utrzymywać je wszystkie przez cały czas?

— Oczywiście. Przy kilkuminutowych opóźnieniach w transmisji, próby wykrywania kilkusekundowych awarii wiązki byłyby kompletną głupotą.

— I rozproszyliście wiązkę na szerokość tysiąca mil, aby utrzymać ją w celu przy każdym jej odchyleniu? — Burbank rzucił w stronę Channinga.

— Nie przy każdym odchyleniu. Jeśli użyjemy określenia „jakiekolwiek normalne wahnięcie”, to mogę się zgodzić.

— Dlaczego więc nie rozproszymy wiązki na dwa lub trzy tysiące mil i nie zrezygnujemy z transmisji zwielokrotnionej? — oznajmił triumfalnie Burbank.

— Słyszał pan kiedyś o zanikaniu sygnału? — spytał Channing z uśmiechem. Pański sygnał napływa i odpływa. To nie chodzi o oscylacje, po prostu chwilami słabnie. Może nie ma nic do jedzenia i odlatuje za wędrującym promieniem kosmicznym. W każdym razie w ciągu minuty wiele razy zdarza się, że jedna wiązka staje tak słaba, że nasze filtry nie są w stanie oczyścić jej na tyle, by nadawała się do użytku. Wtedy przydaje się system zwielokrotniania. Nasze detektory sprzęgające

automatycznie wybierają odpowiedni kanał sygnału. Wybierają ten, który jest najsilniejszy, a pozostałe są tłumione.

— To skomplikowane?

— Robiono to już w czasach świetności radia – mniej więcej od 1935 roku. Dwa kanały są podłączane do wspólnego detektora. Napięcie automatycznej regulacji głośności pochodzi z jednego detektora i jest podawane na wszystkie kanały. Napięcie to jest właściwe dla najsilniejszego kanału, ale jest zbyt wysokie dla tych, które odbierają słabszy sygnał, blokując je poprzez pozbawienie czułości. Kiedy silny kanał zanika, a słaby wzrasta, detektor podąża w dół, aż oba kanały sygnału zrównają się, a następnie wznosi się wraz z kanałem silniejszym.

— Rozumiem — stwierdził Burbank. — Czy coś robiono z tym zanikaniem?

— To jest tak, jak według Marka Twaina z pogodą — uśmiechnął się Channing. — Wszyscy o niej mówią, ale nikt z nią nic nie robi. Jedyne, czego się dowiedzieliśmy na jej temat, to to, że możemy sobie na nią narzekać, a ona nie nam odpowie nam nawet słowem skargi.

— Myślę, że należy spróbować — powiedział Burbank.

— Już próbowano, proszę wybaczyć. Pierwsza instalacja na Wenus Równobocznej została wykonana w ten właśnie sposób. Nie działała, choć zużyliśmy więcej energii niż wszystkie nasze zwielokrotnione nadajniki razem wzięte. Przykro mi.

— Czy ma pan coś do zgłoszenia? — Burbank spytał Channinga.

— Nic. Byłem bardziej niż zajęty badaniem problemów, jakie mieliśmy z utrzymaniem wiązek w celu.

Burbank nic nie powiedział. Był zablokowany. Miał nadzieję, że tajemnica jego niepowodzenia nie jest powszechnie znana, ale jednocześnie wiedział, że gdy trzystu ludzi wie o czymś ciekawym, to niektórzy z nich dopilnują, aby wszyscy inni zainteresowani również na pewno się o tym dowiedzieli. Popatrzył na twarze ludzi siedzących przy stole i w każdej z nich dostrzegł tłumiony śmiech. Burbank skrzywił się z gniewem. Ale był dobrym pokerzystą. Kompletnie tego nie okazał.

Potem przeszedł do innych problemów. Niektóre z nich rozwiązał, inne odłożył na razie na półkę. Burbank był dobrym biznesmenem, trzeba mu to przyznać. Ale podobnie jak wielu innych biznesmenów, Burbank był przekonany, że jeśli tylko będzie miał czas, i jednocześnie będzie wolny od kłopotów oraz papierkowej roboty związanej ze swoim stanowiskiem, może wkroczyć do laboratorium i pokazywać inżynierom, jak zrobić, żeby coś śmigało. Wściekał się za każdym razem, gdy widział któregoś z inżynierów siedzącego z rękami założonymi za głowę, zanurzonego w leniwej, nierealnej krainie głębokiego zamyślenia. Choć wiedział, że nie powinien, często miał ochotę rozpętać piekło, bo ten człowiek ewidentnie się obijał.

Ale trzeba mu było oddać sprawiedliwość. Potrafił perfekcyjnie radzić sobie w sprawach biznesowych. Pomimo kłopotów z kontrolą wiązki, doskonale się z nich wywiązał i uśmierzył wszystkie skargi, które do niego napłynęły. Załatwił je ku zadowoleniu poszkodowanych oraz

Międzyplanetarnej Komisji Łączności, którą interesowało wszystko, na co musiała wydać pieniądze.

Zakończył naradę i pogrążył się w rozmyślaniach. Przyjął tę samą pozę, która tak go denerwowała u innych podwładnych: ręce za głową, stopy na biurku.

W sali kinowej panował półmrok. Bohater wyciągnął stęsknione ramiona do bohaterki i miało miejsce coś w rodzaju magnetycznego przyciągania. Zbliżali się do siebie. Ale iskra nie rozpaliła się. Została zgaszona ślicznym kawałkiem całkowitej czerni, która rozlała się z ekranu i rozprzestrzeniła po całej sali. W tej ciemności doszło do kilku zbliżeń, które były bardziej osobiste i bardziej satysfakcjonujące niż ocenzurowane ekranowe zwarcie. Zapaliły się światła i kilka męskich głów pospiesznie się wycofało. Kobiece usta uśmiechały się radośnie. Niektóre z nich poruszyły się w mowie.

Jedne z nich powiedziały:

— Dlaczego, panie Channing!

— Zamknij się, Arden — warknął mężczyzna. — Ludzie sobie pomyślą, że cię całowałem.

— Jeśli to ktoś inny wykorzystał tę sytuację — stwierdziła — to zostałeś zrobiony w konia. Myślałem, że całuję ciebie i że całkiem nieźle mi to wychodzi!

— Czy kiedyś już tego próbowałaś? — spytał z zaciekawieniem Channing.

— Dlaczego pytasz? — zapytała.

— Podobało mi się to. Zastanawiałem się tylko, że skoro tak działałaś na innych mężczyzn, to co takiego było z tobą, że jesteś samotna.

— Wszyscy padali trupem po pierwszej aplikacji — oznajmiła. — Nie byli w stanie tego znieść.

— Wypuśćcie mnie stąd! Zrozumiałem, co to oznacza. Jestem pierwszym facetem, który nie umarł, co? — Ziewnął szeroko.

— Znajomi czy już późno? — zapytała Arden.

— Ani jedno, ani drugie — odpowiedział. — Chodź, otworzymy sobie butelkę piwa. Zaschło mi w gardle na wiór!

— Trochę boli mnie głowa — powiedziała mu. — Nie mogę sobie wyobrazić od czego.

— Mnie głowa nie boli, ale jestem nieco otumaniony.

— Co robiłeś? — spytała Arden. — Nie widziałam cię od kilku dni.

— Nic godnego uwagi. Kilka dni temu wpadłem na pewien pomysł i zacząłem nad nim pracować.

— Nie pracowałeś do późna ani nie odpuszczałeś sobie śniadań?

— Nie.

— W takim razie nie widzę powodu, dla którego miałbyś się źle czuć. Jestem w stanie sobie wytłumaczyć mój ból głowy, przypisując go przemęczonym oczom. Odkąd pojawił się tu nasz kochany szef i do cna

ocenzurował filmy, ten cholerny ekran migocze jak latarnia morska. Ale zmęczenie oczu nie powoduje samo upicia się. Więc, mój drogi, co piłeś?

— Nic, czego bym nie pił od czasu, kiedy ładnych parę lat temu po raz pierwszy sięgnąłem po swoją drugą butelkę.

— Nie cierpiałbyś chyba na kaca, po tym kociokwiku, który zafundowałeś sobie kilka tygodni temu?

— Nie. Przyrzekłem sobie. Nigdy więcej nie wypiję całej kwarty „Two Moons" w jeden wieczór. Wtedy naprawdę mnie dopadło.

— Trzymało cię przez parę dni — roześmiała się Arden. — Sam jesteś sobie winien.

Don Channing nic na to nie powiedział. Pamiętał, aż nazbyt żywo, rewolucję w brzuchu, jaka miała miejsce po tej sesji z jedynym wojownikiem, który nigdy jeszcze nie został pokonany: Starą Dobrą Wódą.

— Jak ci idzie z Burbankiem? — spytała Arden. — Nie słyszałam żadnych wrzasków na jego temat – no tak, od poniedziałkowej porannej narady. Trzy dni bez złośliwego docinka pod adresem naszego kochanego szefa. To chyba rekord.

— Zapaliłem diabłu ogarek. Był bardziej niż zajęty uspokajaniem zirytowanych obywateli. Ta ostatnia awaria z kontrolą wiązki ściągnęła mu na głowę prawdziwą moskiewską zimę. Jego reformy zostały wstrzymane, a jemu samemu mocno przykrócono cugli. Ale świetnie sobie radzi z wyślizgiwaniem się z narożnika. Oczywiście pomogło mu to, że nawet jeśli nasze usługi kiepsko działały przez kilka godzin, klienci nie mogli się udać do jakiejś innej agencji, aby uzyskać połączenie z innymi planetami.

— Tak jakby: „Bierzcie nas, tak kiepskich jakimi jesteśmy"?

— Zgadza się.

Channing otworzył drzwi do swojego mieszkania i Arden weszła do środka. Channing ruszył za nią, lecz po chwili zatrzymał się.

— Wielki Boże! — oznajmił zdziwionym tonem. — Gdybym nie wiedział…

— Co się stało, Don! Co cię tak zaskoczyło?

— Nie zauważyłaś? — zapytał. — Śmierdzi tu jak w szatni piłkarskiej!

Arden wciągnęła powietrze nosem.

— Przypomina mi to coś, co umarło i nie mogło się wydostać ze swej skóry. — Arden uśmiechnęła się. — Wstrzymam oddech. Każda ofiara będzie dobra, w zamian za odrobinę czegoś do picia.

— Nie o to chodzi. To jest oczyszczone powietrze. Powinno być słodkie nowonarodzone dziecko.

— Niezłe dzieciątko — gwizdnęła Arden. — Co ono piło?

— To nie był soczek z krowy. Ani to coś, co wypełnia jeziora. Próbuję powiedzieć, że to powietrze tutaj cuchnie jakby nie było tu wymieniane od dziewięciu tygodni.

Channing podszedł do kratki wentylatora i zapalił zapałkę. Płomień wygiął się, zamigotał i zgasł.

— Wlot powietrza jest w porządku — stwierdził.

— Może to ja. Przynieś tę butelkę, Channing; nie każ damie czekać.

Znowu ziewnął, głęboko i mocno rozdziawiając szczęki. Arden też ziewnęła, a myśl o tym, że tak razem stoją i rozdziawiają szczęki do granic wytrzymałości, sprawiła, iż oboje głupio się roześmieli.

— Arden, zamierzam obalić z tobą butelkę piwa, po czym zabiorę cię do ciebie, pocałuję na dobranoc i wsadzę do twojego własnego mieszkania. Następnie wrócę tutaj i walnę się w kimono!

Arden wzięła długi, głęboki oddech.

— Kupuję to — odparła. — A dziś wieczorem nie trzeba będzie mnie zbyt długo namawiać żebym się zdrzemnęła, nawet na tym krześle!

— Świetnie — ucieszył się Don. — To by mnie dopiero urządziło w oczach sąsiadów. Nie dam się wciągnąć w coś takiego!

— Nie bądź głupi — powiedziała Arden.

— Z błysku w twoich oczach — stwierdził Channing — wnioskuję, że właśnie miałaś zamiar coś takiego zrobić. Ja tylko próbowałem rozwiać wszelkie głupie pomysły, jakie mogłyby ci przyjść do głowy.

— Nie przejmuj się — oznajmiła zgryźliwie. — Nie mam w głowie żadnych głupich pomysłów. Jestem tak samo wolna jak ty i zamierzam taka pozostać!

Channing wstał.

— Zaraz zaczniemy się bić — zauważył. — Wstawaj, Arden. Otrząśnij się.

Arden wstała, otrząsnęła się, a potem popatrzyła na Channinga z dziwnym błyskiem w oczach.

— Czuję się trochę oszołomiona — przyznała. — I wszystko mnie drażni.

Ze znużeniem przetarła ręką oczy. Potem, z widocznym wysiłkiem, wstała. Wydawało się, że natychmiast pozbyła się chwilowego złego samopoczucia. Uśmiechnęła się do Channinga i w niecałą minutę była już z powrotem sobą.

— Co się dzieje? — spytała. — Czy ty też czujesz się dziwnie?

— Tak! — odpowiedział. — Nie chcę tego piwa. Chcę się przespać.

— Kiedy Channing woli spanie od picia, musi być chory — powiedziała. — Chodź, kolego, zabierz mnie do domu.

Powoli człapali długim korytarzem. Nic nie mówili. Szli ramię w ramię, a kiedy dotarli do drzwi Arden, w ich pocałunku na dobranoc zabrakło zwykłego entuzjazmu.

— Do zobaczenia rano — powiedział Don.

Arden popatrzyła na niego.

— Ten numer był trochę zbyt słaby. Spróbujemy jeszcze raz – jutro albo w przyszłym tygodniu.

Nocny sen Dona Channinga przerywały senne majaki. Było mu gorąco. W snach znajdował się w jakiejś ciepłej, dusznej komnacie, w której ciągle musiał oddychać tym samym, zatęchłym powietrzem. Obudził się zlany gorącym potem, słaby i czuł się – no cóż, kiepsko!

Ubrał się niedbale. Ogolił się na chybił trafił. Poranna kawa smakowała mu kiepsko i kwaśno. W złym humorze opuścił mieszkanie i na rogu korytarza wpadł na Arden.

— Cześć — powiedziała. — Czuję się okropnie. Ale ty wyglądasz lepiej. A może ten namiętny oddech to tylko brak świeżego powietrza?

— Do diabła! To jest to! — zawołał. Poderwał do góry nadgarstek, na którym miał zegarek, wyposażony w stoper. Rozejrzał się i znalazł jakiegoś człowieka siedzącego na ławce, który najwyraźniej odpoczywał, czekając na kogoś, Channing włączył stoper. Zaczął liczyć oddechy człowieka.

— Co się dzieje? — spytała Arden. — Co to jest to „to”? Dlaczego jesteś taki podekscytowany? Czy to ja coś powiedziałam?

— Powiedziałaś — potwierdził Channing po piętnastu sekundach. — Liczba oddechów tego gościa wynosi powyżej pięćdziesięciu! Całe to miejsce jest wypełnione po brzegi dwutlenkiem węgla. Chodź, Arden, idziemy!

Channing wyprzedzał dziewczynę o kilka metrów, do chwili gdy znaleźli się w zasięgu wzroku od windy. Poczekał na nią, a potem ruszyli kabiną do górę na pełnym gazie. Mijały kolejne minuty, a oni czuli to podnoszące żołądek uczucie, które pojawia się, gdy zmniejsza się grawitacja. Arden zacisnęła dłonie na dołku i skuliła się. Skręcała się i chichotała.

— Byłaś już przecież na osi — polecił jej Channing. — Bierz długie, głębokie wdechy.

Winda zatrzymała się po chwili spowalniania. Normalne hamowanie cisnęłoby nimi o sufit.

— No, dalej — uśmiechnął się do niej — tutaj zyskuje się na czasie!

Channing popatrzył w górę małych schodów, które prowadziły na najbardziej wewnętrzny poziom. Mrugnął do Arden i skoczył. Z łatwością przeleciał przez otwór.

— Skacz — polecił. — Nie używaj schodów!

Arden skoczyła. Popłynęła w górę, a kiedy przelatywała przez otwór, Channing złapał ją za ramię i zatrzymał jej lot.

— Z taką prędkością przeleciałabyś na drugą stronę — stwierdził.

Spojrzała do góry, a tam, jakieś dwieście stóp nad głową, zobaczyła przeciwległą ścianę.

Channing włączył światła. Znajdowali się w pomieszczeniu o średnicy dwustu stóp i długości trzystu stóp.

— Jesteśmy w samym centrum stacji — poinformował ją Channing. — Za tą przegrodą znajduje się śluza powietrzna. Po drugiej stronie przeciwległej grodzi mamy instalacje powietrzne, pomieszczenia magazynowe i kilka cali sześciennych maszynerii.

— Cali? — spytała Arden. Po chwili zorientowała się, że zażartował sobie z niej.

— Chodź — powiedział. Złapał ją za rękę i odepchnął się kopnięciem, lecąc długą, zakrzywioną trajektorią na przeciwną stronę wewnętrznego cylindra. Dolecieli do przeciwległej grodzi.

— To właśnie nazywam podróżowaniem — stwierdziła Arden. — Ale mój brzuch i tak się skręca, za każdym razem, gdy przekraczamy środek.

Channing otworzył ciężkie drzwi. Przeszli przez pomieszczenia pełne maszyn, do pomieszczeń wypełnionych po brzegi pudłami; układane one były od ściany do środka, a następnie unieruchamiane sprężynami. W pobliżu osi cylindra rzeczy ważyły tak mało, że konieczne były opakowania, które zapobiegały ich obijaniu się.

— Kręci mi się w głowie — powiedziała Arden.

— Wysokie stężenie tlenu — odparł. — CO_2 opada na dół, ponieważ jest cięższe. Poza tym powietrze tutaj jest rzadsze, ponieważ siła odśrodkowa wypycha je aż do obręczy. Tam jesteśmy tak przyzwyczajeni do słowa „dół", że tutaj, pół mili w górę – czy też raczej w stronę środka – mamy problem z technicznym określeniem, o co nam chodzi. Patrz!

Zostawił stojącą Arden i szybkim krokiem obszedł wnętrze cylindra. Po chwili stanął na stalowych płytach bezpośrednio nad jej głową. Popatrzyła do góry i pokręciła głową.

— Co prawda wiem dlaczego — zawołała — ale i tak kręci mi się w głowie. Zejdź stamtąd. Bo się porzygam.

Channing dał zgrabnego nurka z pozycji nad jej głową. Zrobił to po prostu skacząc w górę ze miejsca w którym stał, w stronę miejsca gdzie czekała ona, pozornie zwisając głową w dół z sufitu. Zrobił w powietrzu zgrabne salto i wylądował koło niej. Natychmiast dla obojga wszystko wróciło do normy.

Channing otworzył drzwi do pomieszczenia oznaczonego napisem: „Fabryka Powietrza". Wszedł do środka, zapalił światło i zdumiał się. Pomieszczenie było puste! Całkowicie puste! Absolutnie i nieodwołalnie puste. Na podłodze było trochę brudu, trochę śmieci w rogach i ślady zadrapań na podłodze, świadczące o tym, że życiodajna fabryka powietrza została usunięta, kawałek po kawałku, przez inne drzwi w przeciwnym końcu pomieszczenia.

— Święty Boże! — krzyknął Don. — Jesteśmy załatwieni! Arden, biegnij do dalekopisu i… nie, poczekaj chwilę, aż wyjaśnimy jeszcze parę rzeczy na ten temat!

W rekordowym tempie wrócili na poziom biurowy. Zastali Burbanka w swoim gabinecie, odchylonego do tyłu, rozmawiającego z kimś przez telefon.

Channing próbował mu przerwać, ale Burbank oderwał nos od telefonu tylko na tyle, by warknąć:

— Nie widzi pan, że jestem zajęty? Nie ma pan już ani krzty manier czy też szacunku?

Channing, kipiąc wewnętrzną wściekłością, zaklął w myślach. Usiadł z udawanym spokojem i złożył ręce na brzuchu, jak słynny posąg Buddy. Arden popatrzyła na niego i mimo wszystkich kłopotów, w jakich się znaleźli, nie mogła się powstrzymać od chichotu. Channing, wysoki, szczupły, a przy tym silny, w najmniejszym stopniu nie przypominał popularnej, pyzatej postaci siedzącego Buddy.

Minęła minuta.

Burbank odłożył słuchawkę.

— Skąd Wenus Równoboczna bierze powietrze? — warknął Burbank.

— O tym właśnie chciałem z panem…

— Proszę mi odpowiedzieć. Niepokoję się.

— Ja też. Coś…

— Proszę mi najpierw powiedzieć, z jakiego źródła Wenus Równoboczna czerpie świeże powietrze?

— Z fabryki powietrza. I to jest…

— Musi być ich więcej niż jedna — stwierdził zamyślony Burbank.

— Jest tylko jedna.

— Musi być więcej niż jedna. Nie moglibyśmy żyć, gdyby nie było ich więcej — powiedział dyrektor.

— Życzenie nie sprawi, że tak się stanie. Jest tylko jedna.

— Mówię panu, że musi być jeszcze jedna. Wczoraj wszedłem do tej na osi i zobaczyłem, że zamiast mnóstwa sprawnie pracujących maszyn, oczyszczających powietrze i rozsyłających je do różnych części stacji, była tam tylko jakaś istna dżungla chwastów. Te chwasty, panie Channing, wyglądały tak, jakby wyrosły już tam wiele lat temu. A gdzie się podziała maszyna oczyszczająca powietrze?

Channing wysłuchał drugiej połowy przemówienia Burbanka, siedząc ze szczęką leżącą na kolanach. Wyglądał tak, jakby wystarczyło go dotknąć piórkiem aby spadł z krzesła znokautowany.

— Kazałem robotnikom usunąć te chwasty. Zamierzam wymienić urządzenia pneumatyczne, jak tylko uda mi się sprowadzić z Terry nowe materiały.

Channingowi udało się zamrugać oczyma. Był to efekt widocznego wysiłku.

— Kazał pan robotnikom wyrwać te chwasty — powtórzył tępo. — Chwasty

Przez minutę panowała cisza. Burbank przyglądał się siedzącemu na krześle mężczyźnie, jakby Channing był posągiem. Channing był tak samo nieruchomy.

— Channing, człowieku, co ci jest… — zaczął Burbank. Głos Burbanka wyrwał Channinga ze stanu wstrząsu.

Channing zerwał się na nogi. Wylądował na piętach, obrócił się i rzucił do Arden:

— Biegnij do dalekopisu. Każ im niech wrzucą jak najwięcej bębnów z tlenem na najszybszy statek, jaki mają! Niech przylecą tu na pełnym gazie. Powiedz im, żeby naszpikowali pilota i załogę gravanolem i nie oszczędzali koni mechanicznych! Zmykaj!

Arden sapnęła. Wybiegła z biura.

— Burbank, czym według pana jest fabryka powietrza? — warknął Channing.

— Czy nie jest to jakaś maszyna, która je oczyszcza? — zapytał zdziwiony dyrektor.

— A jaka może być lepsza maszyna oczyszczająca powietrze, niż trawnik? — krzyknął Channing. — Chwasty, trawa, kwiaty, drzewa, lucerna, pszenica, wszystko, co rośnie i wykorzystuje chlorofil.

Oddychamy tlenem, wydychamy CO2. Rośliny wdychają CO2 i wydzielają tlen. Fabryka powietrza oznacza właśnie to. Jest to wyspecjalizowana odmiana trawy marsjańskiej, która skuteczniej niż cokolwiek innego w systemie wdycha martwe powietrze i ożywia je. A ty wyrzuciłeś chwasty! — Channing parsknął ze złością. — Zajęło nam lata, aby ta roślina rosła tak, jak należy. Było już tak dobrze, że nie były nam nawet potrzebne czujniki CO2. Równowaga była tak stabilna, że od trzech czy czterech lat nie były one w ogóle włączane. Byłyby tylko źródłem niepotrzebnych wydatków. Poza comiesięczną inspekcją, to pomieszczenie nie jest nawet otwierane, tak wydajna jest marsjańska trawa. Burbank, my tracimy tlen!

Twarz dyrektora zrobiła się biała.

— Nie wiedziałem — wykrztusił.

— No cóż, teraz już wiesz. Wsiądź na konia i zrób coś. A przynajmniej, Burbank, nie wchodź mi w drogę, kiedy ja coś będę robił.

— Ma pan wolną rękę — powiedział Burbank. W jego głosie pobrzmiewało zdenerwowanie i niepokój.

Channing wyszedł z gabinetu dyrektora i skierował się do laboratorium chemicznego.

— Ile macie chloranu potasu, azotanu, siarczanu i innych związków zawierających tlen? — zapytał. — Rozumiem przez to również tlenek rtęci, zbędną wodą lub cokolwiek innego, co po rozłożeniu da nam tlen?

Minęło dziesięć minut, zanim pracownicy laboratorium chemicznego dokonali pospiesznej inwentaryzacji.

— Dobrze — powiedział Channing. — Zacznijcie je rozkładać. Zbierzcie w pojemnikach cały tlen, jaki tylko zdołacie otrzymać. To jest kluczowa sprawa! To ma priorytet! Wszystko, choćby nie wiem jak cenne, musi zostać zużyte, jeśli może ułatwić gromadzenie tlenu. Bóg jeden wie, że nie starczy go nawet w połowie, ani w jednej dziesiątej. Ale i tak spróbujcie.

Channing wyszedł z laboratorium chemicznego i udał się do laboratorium elektronicznego.

— Jimmy — krzyknął. — Przynieś kilka kamiennych słojów i przygotuj urządzenie do elektrolizy. Wyrzucaj wodór z wnętrza stacji w przestrzeń i zbieraj tlen. To znaczy, ten uzyskany z wody. Użyj wody pitnej, prosto z kranu.

— Tak, ale…

— Jimmy, jeśli nie będziemy mieli czym oddychać, to jaka jest szansa że zachce nam się pić? Powiem ci, kiedy przestać.

— O.K., doc — odparł Jimmy.

— Słuchaj jeszcze. Jak tylko uruchomisz tamto urządzenie, ustaw wskaźnik poziomu CO2 i pod koniec każdej godziny informuj mnie o jego zawartości procentowej! Zrozumiałeś?

— Zakładam, że coś się stało z fabryką powietrza?

— Nie działa — wyjaśnił krótko Channing.

Zostawił zdziwionego Jimmy'ego i udał się do pokoju sterowania wiązkami. Jimmy nadal zastanawiał się nad fabryką powietrza. Jak, u

diabła, fabryka powietrza mogła przestać działać, chyba że była… martwa! Jimmy przestał się zastanawiać i gorączkowo zaczął pracować nad urządzeniem do elektrolizy.

Channing zauważył, że mężczyźni w pokoju sterowania wiązkami są zaniepokojeni i źle się czują. Doskonała koordynacja, dzięki której byli ekspertami w swojej dziedzinie, słabła. Nerwowa praca, która wymuszała na nich dziesięciominutowe zmiany, z półgodzinnym odpoczynkiem między nimi, wymagała doskonałej kontroli ruchowej, doskonałej percepcji i zdolności rozumowania. Ledwie odczuwalny brak tlenu, na tak wysokim poziomie, już zbierał swoje żniwo.

— Słuchajcie, koledzy, jesteśmy w kłopotach. Do odwołania wprowadźcie pięciominutowe zmiany. Zostało nam około trzydziestu godzin. Jeśli sytuacja się pogorszy, można przejść na zmiany trzyminutowe. Ale, koledzy, utrzymujcie te wiązki w celu, dopóki nie padniecie!

— Utrzymamy je, nawet jeśli będziemy musieli wezwać nasze żony, żeby nimi za nas sterowały — powiedział jeden z ludzi. — Co się dzieje?

— Fabryka powietrza padła. Tracimy tlen. Z Terry leci do nas statek, będzie tu za trzydzieści godzin. Ale to na was spoczywa odpowiedzialność za utrzymywanie nas w kontakcie z resztą systemu. Gdybyście zawiedli, moglibyśmy sobie wzywać pomocy do usranej śmierci – i nikt by nas nie usłyszał!

— Utrzymamy je w ruchu — oświadczył mały człowieczek, który musiał usiąść na wysokim stołku, aby znaleźć się na równym poziomi z kontrolerami.

Channing wyjrzał przez wielką kopułę z plastiku, która zakrywała cały koniec Wenusjańskiej Stacji Równobocznej. „Tutaj wchodzą i wychodzą wiadomości” — pomyślał. — „Drugi koniec dostarcza nam rzeczy, które odbierają nam oddech.”

Channing miał na myśli wielką śluzę powietrzną znajdującą się na drugim końcu stacji, trzy mile stąd, dokładnie przez sam środek stacji.

Pośrodku kopuły znajdował się teleskop obserwacyjny. Utrzymywał on Gwiazdę Polarną w obrębie wyznaczonego okręgu, dzięki czemu stacja była dokładnie synchronizowana z ziemską północą. Na okręgu kopuły, patrząc na zewnątrz, w przestrzeń kosmiczną, siedzieli operatorzy sterujący wiązką. Każdy z nich miał pod sobą paraboliczny reflektor o średnicy stu stóp, umiejscowiony na zewnątrz kopuły, tuż pod krawędzią przezroczystej misy. Reflektory te wyrzucały w przestrzeń kosmiczną ciasne wiązki sygnałów międzyplanetarnych, a operatorzy, starając się nieustannie przewidywać kaprysy kosmicznych odkształceń, utrzymywali je wyśrodkowane na właściwej, świecącej plamce w tym morzu gwiazd.

Gwiazdy migotały ponad jego głową. Marny człowiek, przeciwstawiający sią swą wolą monstrualnej pustce. Marny człowiek, uzależniony od atmosfery. „Natura nie znosi próżni” — powiedział kiedyś Torricelli. Cóż za zarozumiałość! Skoro natura nie znosi próżni, to dlaczego tak wiele jej stworzyła?

Arden Westland weszła do mieszkania bez pukania.

— Dałabym sobie obciąć prawą rękę za papierosa — powiedziała, sugestywnie przeciągając krawędzią drugiej dłoni, nad łokciem.

— Nie — odparł Channing. — Nie można spalać tlenu.

— Wiem. Jestem zmęczona, jest mi zimno i mam mdłości. Czy możesz coś zrobić dla damy?

— Nie tyle, ile bym chciał — powiedział Channing. — Niewiele mogę pomóc. Większość stacji jest zamknięta hermetycznymi drzwiami. Elektrolizujemy wodę, podgrzewamy KC1O3 i wszystko inne, z czego można uzyskać tlen. Moja ekipa stara się pochłaniać CO2. Jimmy Dickson co godzinę dostarcza mi raporty o zawartości CO2, i przegrywamy. Powoli, Arden, ale przegrywamy. Oczywiście od początku wiedziałem, że nie damy rady utrzymać stacji na tych skromnych zapasach, jakie mamy pod ręką. Ale w końcu zwyciężymy. Za kilka godzin nasz mikrokosmiczny światek dostanie zastrzyk w ramię, który przywróci nam równowagę.

— Nie rozumiem, dlaczego nie jesteśmy przygotowani na taką sytuację awaryjną — powiedziała Arden.

— Ta stacja jest dobrze ustabilizowana. Jest tu wystarczająco dużo ludzi i wystarczająco dużo miejsca, by stworzyć własny mały światek. Możemy osiągnąć równowagę, która jest bliska ideału. Drobne niedoskonałości są niwelowane przez napływ zaopatrzenia z Układu. Dopóki Burbank nie naruszył równowagi, mogliśmy żyć wiecznie, wykorzystując naturalne oczyszczanie powietrza i wody. Uprawiamy kilka warzyw i mamy kilka zwierząt mięsnych, które dają mleko i steki. Energii do działania Wenus Równobocznej dostarczają nam kolektory fotoelektryczne – energia słoneczna, jeśli można tak powiedzieć. Dlaczego mielibyśmy się obarczać mnóstwem stóp sześciennych zapasów, które zajmowałyby miejsce, niezbędne do utrzymania równowagi? Nie jesteśmy w złym stanie. Przeżyjemy, choć wszyscy będziemy bandą zmęczonych, rozdrażnionych ludzi, którzy ziewają sobie w twarz.

— A jak to się skończy?

— Przywrócimy równowagę. Potem wszystko znów się uspokoi. Będziemy mogli zacząć tam, gdzie skończyliśmy.

— Nie do końca. Wenus Równoboczna została wypalona jak przez ogień. Będziemy bardziej surowi i mniej tolerancyjni wobec obcych. Jeśli wcześniej już byliśmy zamkniętą grupą, to po pożarze będziemy bardziej zwarci niż próżniowo zapakowana puszka po kawie. A pierwszy człowiek, który nas skrzywdzi, zostanie potraktowany syczeniem.

Po upływie trzydziestu jeden godzin w zasięgu wzroku pojawiły się trzy superliniowce. Okrążyły stację, sygnalizując za pomocą helio. Podeszły do śluzy powietrznej na końcu stacji i zadokowały do niej. Ich masa przekrzywiła lekko stację, przechyliła ją i obróciła w wyniku reakcji żyroskopowej. Otwarto śluzę powietrzną i na szerokim na milę końcu stacji pojawiły się ubrane w stroje kosmiczne postacie. Do śluzy zaczął

płynąć strumień wielkich zbiorników z tlenem, wniesiono je na stację i zaniesiono do ostatniego bastionu skupionych na czwartym poziomie ludzi.

Z jednego ze statków wyłoniła się horda robotników niosących ogromne kwadratowe palety z ziemią i zieloną, rosnącą trawą.

Przez sześć godzin Wenus Równoboczna była sceną gwałtownej, szaleńczej aktywności. Martwe powietrze było wydmuchiwane z miejsc w których zalegało, a w każdym pomieszczeniu słychać było syczenie zbiorników z tlenem. Stopniowo ludzie opuszczali czwarty poziom i wracali na swoje miejsca. Stacja znów rozbrzmiewała śmiechem, a jej załoga, powstrzymana na chwilę z braku możliwości oddychania, wzięła głęboki haust świeżego powietrza i wróciła do pracy.

Superliniowce odleciały. Ale zabrały ze sobą pamiątkę. Wraz z nimi odleciał Francis Burbank. Na pierwszym statku przyleciało zawiadomienie o jego usunięciu, a na drugim – nominacja Dona Channinga na dyrektora Interplanetary Communications.

Szczęśliwym krokiem wszedł ponownie do gabinetu dyrektora. Miał przy sobie wszystkie rzeczy, które zabrał stąd zaledwie kilka tygodni wcześniej. Tym razem zamierzał zostać tutaj na dłużej.

Za nim do gabinetu weszła Arden.

— Znowu w domu? — spytała.

— Tak — uśmiechnął się do niej. — Byłabyś taka miła, otworzyła segregator B, i przygotowała mi naczynie z moim ulubionym napojem?

— Oczywiście, że tak — odpowiedziała.

Rozległy się okrzyki radości.

— Dawaj cztery szklaneczki — ktoś powiedział z tyłu. Byli to Walt Franks oraz Joe.

To Arden zaproponowała toast.

— Za zamkniętą grupę — powiedziała. Wypili za to.

Podeszła do Dona i objęła go ramieniem.

— Widzisz? — powiedziała, patrząc mu w oczy. — Nie jesteśmy już tacy sami. Wszystko się zmieniło od czasu, gdy Burbank przyszedł i odszedł. Czyż nie?

— Zmieniło się — zaśmiał się Channing. — A teraz, kiedy jesteś moją sekretarką, nie jest już właściwe, abyś tak się do mnie jarzyła. Ludzie będą gadać.

— O czym on bredzi? — spytał Joe.

Channing odpowiedział.

— Przyjmuje się, że w złym guście jest, aby sekretarka podrywała swojego szefa. Pomyślcie o jego żonie i dzieciach.

— Ty nie masz ani jednego, ani drugiego.

— Może i tak. Ale nadal nie wypada, aby sekretarka…

— Nie będziesz mówił na mnie „sekretarka”, takim tonem — warknęła Arden. — Odchodzę! Rezygnuję! Nie chcę być sekretarką takiego człowieka jak ty!

Channing popatrzył bezradnie na Franksa.

Walt spojrzał na Arden, zobaczył błysk w jej oczach i powiedział do Channinga:

— Zobaczymy, czy uda ci się wykręcić od tego, co się stanie! — Wziął Joego za rękę i powiedział: — Joe, teraz, kiedy zakaz został zdjęty, mogę ci postawić drinka?

A Joe odpowiedział:

— Mamy taką piękną noc, prawda?

Na Wenus Równobocznej zawsze jest piękna noc. Gwiazdy świecą bez końca na roztopionej kuli niebios. Sol świeci przez cały czas na absolutnie czarnym, pełnym gwiazd niebie. Nie ma Księżyca. Powietrze jest zawsze miękkie, ciepłe i niezmienne.

W chwili, gdy Channing dowiadywał się, dlaczego Arden zrezygnowała, mały człowieczek z północnej Wenus przekazał wiadomość operatorowi w hotelu International w Detroit w stanie Michigan. Została ona przesłana przewodami naziemnymi na Hawaje, dalej na Lunę, na Wenus Równoboczną, do orbitujących stacji przekaźnikowych, które okrążają Wenus pięćset mil nad planetą, w dół przez szalejącą warstwę Heaviside'a do Northern Landing i przez Kraj Palanortis do Yoralen.

Channing wciąż jeszcze zastanawiał się nad rezygnacją swojej sekretarki, gdy Korvus Wspaniały przeczytał:

LATACZ TYP 56-XXD F.O.B. DETROIT, MICHIGAN, DZISIAJ. ZOSTANIE DOSTARCZONY NASTĘPNYM STATKIEM FRACHTOWYM.

WILNEDA.

KONIEC